

Mary Spencer była dziś w wyjątkowo dobrym humorze. Obudził ją mleczarz. Dziś może wydawać nam się to dziwne, ale w roku 1963 nikt w Rosewood nie myślał o kupowaniu mleka zamkniętego w supermarketowym kartoniku. Postęp od zawsze docierał do miasteczka z dużym opóźnieniem.

Carl White był najszybszym i najcichszym mleczarzem w historii. Lubił tak o sobie myśleć i cóż, było to w dużej mierze prawdą, ale i tak jego wizyty często kończyły się dla Mary przymusową pobudką. Od zawsze spała bardzo płytko a raz wyrwana ze snu wracała do niego z ogromnym trudem.

Jednak tym razem nawet znienawidzone wstawanie o świcie nie było w stanie wyprowadzić jej z równowagi. Do upragnionego balu zostało niespełna 40 godzin.

Całe miasto (a w szczególności jego młodsza część) huczało od plotek, drżało z ciekawości i zniecierpliwienia. Mary również czekała na ów wielki dzień a nowa, wisząca w pokoju sukienka uświadamiała jego rychłe nadejście.

Zeszła po cichutku do kuchni i przygotowała sobie skromne śniadanie. Dbała o linię na długo przed ogólnoswiatową epidemią otyłości i wtórną do niej modą na zdrowy tryb życia. Była pewną siebie i świadomą dziewczyną. Starsi, bardziej konserwatywni mieszkańcy Rosewood uważali, że jest zbyt nowoczesna, ale rodzina kochała ją właśnie taką.

Jack też ją kochał. Był miłym, ale wyjątkowo głupim chłopcem. Jedną z tych pierwszych miłości, które po latach wspomina się ze zdziwieniem i zażenowaniem. Nie wiedział jeszcze, że Mary zerwie z nim niedługo po balu.

Zanim śniadanie dobiegło końca Carl przemierzył całą ulicę Pszeniczną docierając aż do domu Smithów. Zostawił po sobie ślad z połyskujących we wschodzącym słońcu butelek.

Ulica Główna była najszerszą i najbardziej ruchliwą drogą w Rosewood. W latach sześćdziesiątych miasto wciąż znajdowało się w fazie dumnego i pysznego rozkwitu. Po trasie dniem i nocą ciągnęły zastępy samochodów dostawczych, ciężarówek oraz innego specjalistycznego sprzętu potrzebnego do zaspokojenia rozbuchanego, młodego przemysłu.

Matki przestrzegały dzieci przed zabawą w pobliżu ulicy czy też nieostrożnym wbieganiu na gładkie, lecz niebezpieczne morze asfaltu. Mimo ich nieopisanego trudu nie było roku, w którym nie doszło do wypadku.

Droga dzieliła miasto na dwie, w miarę równe części. Choć Rosewood było w wielu wypadkach zwartą i wyjątkowo odpowiedzialną społecznością to ta niewidzialna i banalna do sforsowania granica w umysłach ludzi rosła do rozmiarów nieprzekraczalnego muru.

Caroline mieszkała Po Drugiej Stronie, ale Mary, na szczęście, i tak uważała ją za najlepszą przyjaciółkę. Niebieskooka, piegowata blondynka była dobrą i pocziwą nastolatką. Dziecinna naiwność dodawała jej tylko uroku. Dziewczyny poznały się pierwszego dnia szkoły i chociaż różniły się prawie we wszystkim, od razu przypadły sobie do gustu.

Mary sprowadziła się do Rosewood na kilka miesięcy przed rozpoczęciem nauki w podstawówce. Jej matka zmarła podczas porodu a ojciec, zebrawszy cały majątek, wyruszył z córką w podróż ku lepszej przyszłości. W trakcie kilku lat tułaczki zwiedzili niemal pół kraju. Byli szczęśliwi pomimo trudów, jakie niósł ze sobą koczowniczy tryb życia.

Ojciec pracował dorywczo. Był urodzonym majsterkowiczem i szybko się uczył. Jak łatwo odgadnąć, nie miał trudności ze znalezieniem zatrudnienia. Mimo to mało kiedy spędzali w jednym mieście więcej niż miesiąc. Wybrzydzał, narzekał, wiedziony instynktem chciał jechać dalej, zobaczyć więcej.

Uciekał przed przeszłością. Wiedział o tym, ale nigdy otwarcie nie przyznał jaki był prawdziwy powód ich tułaczki

W końcu wylądowali w Rosewood. Wizja nadciągającego wielkimi krokami obowiązku szkolnego połączona ze specyficzną atmosferą miasteczka sprawiła, że postanowili dać mu szansę.

Od tamtej pory nie śmieli nawet marzyć o mieszkaniu gdzie indziej.

Mary odwiedziła Caroline około południa. Zwlekała aż tyle bo wiedziała, że jej przyjaciółka nie ma w zwyczaju wstawać wcześniej. W sobotę, jak podejrzewała, zastanie ją jeszcze w piżamie.

Nic bardziej mylnego! Caroline, ku zdziwieniu Mary, nie była dziś sama.

W odwiedziny przyszła Lucy. W szkole (słusznie) uważano ją za największą plotkarę i intrygantkę. Była wredna, rozwydrzona i chyba nikt nie darzył jej szczerą sympatią. Nie stanowiło to jednak większego problemu. Dziewczyna spała na pieniądzach a swoją urodą mogła obdzielić tuzin koleżanek. Wszyscy za nią szaleli.

Mary czuła się nieswojo. Sobotnie spotkania z Caroline były już tradycją. Dziewczyna, świadomie lub nie, weszła na jej teren.

- Hej!

Lucy nie raczyła się przywitać. Zlustrowała Mary od góry do dołu i uśmiechnęła się cynicznie. Miała wzrok, który zdawał się wylapywać każdą niedoskonałość. Człowiek stojący przed nią czuł się nagi i bezbronny. W jej niezmiennym uśmiechu kryła się pogarda.

- Skąd ten zaszczyt?- spytała Mary.

- Od razu zaszczyt – odparła słodko i przymilnie – przyszedłam pogadać z przyjaciółkami.

- Także ten... - westchnęła Caroline - Niedługo bal. Masz już sukienkę?

- Jeszcze pytasz? – fuknęła – Oczywiście, że mam...

Lucy nie potrzebowała dalszej zachęty. Jak się okazało jej kreacja była po pierwsze: nieprzyzwoicie droga, a po drugie: nieprzyzwoicie tandetna. Najwyraźniej dobrego gustu nie można było kupić za żaden, nawet najdłuższy, ciąg cyfr widniejący na opłacanym przez tatusia rachunku.

- Ale dość o mnie. Mary, idziesz z kimś czy sama?

Dziewczyna przygryzła wargę. Może jej chłopak nie grzeszył popularnością, ale był towarzyski i rzucał się w oczy. Lucy, o ile była tak dobrze poinformowana jak utrzymywała, musiała wiedzieć o jego istnieniu.

- No... Idę z Jackiem.

- Ha, Jack! – zaśmiała się – prawie zapomniałam, że jesteście razem.

- Eee? Jeste...

- Oj moja droga, nie ważne, nie ważne! – przerwała machając ręką – pogadamy kiedy indziej. Za piętnaście minut muszę być u fryzjera! Kochane, mam nadzieję, że niedługo się spotkamy.

Dziewczyny nawet nie próbowały podzielać jej fałszywego entuzjazmu. Dały się wyściskać i, z trudem ukrywając ulgę, odprowadziły nieproszonego gościa do drzwi.

Mówią, że marzenia się spełniają – wystarczy tylko czegoś chcieć.

To prawda o ile założymy, że w parze z pragnieniem idzie ciężka praca. Gorzej jeżeli marzenia poniosą nas za wysoko. Niewiele smutnych rozczarowań boli tak, jak upadek z wysokości nazbyt wybujałych fantazji.

Dla większości dzieciaków w Rosewood marzeniem był właśnie bal. Nie wiedzieli lub nie chcieli wiedzieć, że w przyszłości czekają ich donioślejsze uroczystości, ważniejsze wydarzenia. Liczyło się tu i teraz. Młodzi ludzie, którzy już niedługo mieli zrobić pierwszy, duży krok ku dorosłemu życiu wciąż nie wyzbyli się fundamentalnego przywileju beztroskiej adolescencji. Wyolbrzymiali, marzyli, mieli nadzieję.

W powietrzu unosił się zapach kurzu i tanich perfum. Tłum, zebrany na świeżo wylakierowanym parkiecie, z pewnej odległości do złudzenia przypominał niespokojny rój pszczół. Ściany ozdobiono papierowymi, nieco tandetnymi dekoracjami. Jeden niedopałek mógł zamienić Niezapomnianą Noc w taką, która faktycznie pozostanie w pamięci na dziesięciolecia.

Mary wyglądała zjawiskowo. Jack był miłym chłopcem i tej nocy powiedział to aż trzykrotnie.

Pierwszy raz odezwał się w jej domu:

- Wyglądasz pięknie – wydukał gdy otworzyła mu drzwi.

W życiu nie widziała go w takim stanie. Jego zimne dłonie drżały a nieporadna mowa nie potrafiła wyrazić niczego poza zdawkowymi ogólnikami. Ojciec Mary uśmiechał się pod nosem. Kiedy wychodzili puścił do córki oko i z rozbawieniem pokręcił głową.

Po raz drugi przemówił na parkiecie, po kilku pierwszych tańcach:

- Jezu, jaka ty jesteś śliczna – mruknął.

Zdenerwowanie opuściło go już zupełnie. Ręce odzyskały dawną pewność i coraz częściej wędrowały w miejsca, w których Mary nie chciała ich czuć. Podejrzewała, że chyłkiem wychylił kilka głębszych.

Dlaczego? Cuchnął alkoholem. A poza tym nie znała go od tej strony. Jack był głęboko wierzącym i dobrze wychowanym chłopcem. Do tej pory (niestety) nie przejawiał zainteresowania jej grzeszną cielesnością.

Trzeci komplement przyszedł mu z największym trudem:

- Jesheś... - chrypiął do jej ucha – Jesheś piękna... Mam na ciebie saaszną ochotę, kotku. Pójdziemy...

Mary nawet nie próbowała go spoliczkować. Był na tyle znieczulony, że wystarczyło lekkie odepchnięcie. O dziwo nie upadł, ba, nawet się nie zachwiał. Najwyraźniej zamiast zalać robaka nieopatrznie utopił w wódce płaty czołowe.

Zdecydowanym krokiem oddaliła się w stronę wyjścia. Jack, wciąż zaskoczony, zdołał krzyknąć coś niezrozumiałego ale Mary go nie słuchała. Całą uwagę skupiała na tym, żeby się nie rozplakać.

Chłopak, choć na początku wydawał się zmieszany, niemal od razu znalazł pocieszenie w ramionach Lucy.

Noc przedziwnych zbiegów okoliczności rozpoczęła się w najlepsze.

- Co tu się... – ojciec wpadł do pokoju o mało nie wyrywając drzwi z zawiasów. W ręku trzymał łom, chyba nie spodziewał się zastać córki tak wcześnie – Mary? Co robisz?

- Ja... Ja muszę wyjechać, muszę. Na kilka... - tłumaczyła szlochając.

- Córeczko, spokojnie. Co się stało?

- Nic. Muszę wyjechać, muszę... - powtarzała jak katarynka.

To mogło znaczyć wszystko. Od złamanego serca po gwałt. Od ośmieszenia się na oczach znajomych po katastrofę rodem z greckiej tragedii. Stan w jakim znajdowała się Mary uniemożliwiał uzyskanie odpowiedzi. Mężczyzna wiedział, że powinien uspokoić dziecko, zapewnić jej bezpieczeństwo dopóki wszystko się nie wyjaśni. Od wiedzy do działania prowadzi jednak długa i kręta droga.

- Gdzie cię zawieźć? – odparł po chwili milczenia.

Taki już był ojciec Mary. Zbyt wyrozumiały, zbyt pomocny a przede wszystkim bezgranicznie ufający w dojrzałość swojej córki.

Zatrzymali się w małym, przydrożnym hoteliku. Ojciec początkowo nie brał pod uwagę możliwości zo-

stawienia Mary bez opieki, ale po wielu prośbach i dość długiej, szczerzej rozmowie zgodził się na samotny powrót do miasta. W recepcji mieli telefon, obiecała dzwonić.

Kilka godzin spędziła w łóżku. Próbowwała drzemać, ale męczyły ją koszmary. Na jawie również nie mogła odsunąć od siebie ponurych, wyciskających łzy z oczu, wizji.

Myślała, że znajduje się w tragicznej sytuacji. Nie miała pojęcia co jeszcze zgotował dla niej złośliwy los. Prawdziwe problemy zaczęły się nad ranem.

Pierwsze pojawiło się drżenie rąk. Uciążliwe, niemożliwe do opanowania nagromadzenie drobnych, mimowolnych ruchów do złudzenia przypominało objawy niedoboru magnezu. Mary instynktownie przezuwała, że tym razem dieta pomidorowo-czekoladowa jej nie uleczy.

Dwa, może trzy kwadransy później dołączył się lęk. Początkowo Mary ledwie go dostrzegała. Był jak zimny język, zniecałkany liżący jej serce. Nie wiązał się z niczym konkretnym, wisiał nad nią niczym ciężka, burzowa chmura.

Narastał stopniowo. Najpierw nie utrudniał jej życia, ale z każdą minutą stawał się coraz bardziej uciążliwy. Punkt kulminacyjny osiągnął około południa.

Mary myślała, że umiera. Podświadomie czuła gasnące funkcje życiowe, miała wrażenie, że przestaje widzieć, słyszeć, trawić i wydalać, że skomplikowana maszyna jaką jest ludzki organizm w jej przypadku odmawia posłuszeństwa i powolutku redukuje obroty.

Oddychała zdecydowanie zbyt szybko, serce tłukło jej się w piersi a każdy kawałek ciała bolał tak jakby miała się rozpaść. Wpełzła pod kołdrę i drżała nie potrafiąc zahamować płynących łez. Przeleżała tak kilkanaście minut ale w piekle, w którym znajdował się jej umysł czas płynął na innych zasadach.

Kiedy najgorsza faza ataku minęła, spróbowała się podnieść. Utrzymała pion, choć świat uparcie uciekał jej spod nóg. Zmotywowana sukcesem przyłgnęła do ściany i ostrożnie, krok za krokiem, podeszła do okna.

Nieopodal wiała się malownicza rzeczka. Błyszczała w słońcu niczym wielokolorowy, sunący między kępami tataraku i pałki wodnej, wąż. Wążki błędziły w delikatnej mgiełce unoszącej się nad wodą, motyle tańczyły pośród licznych, malutkich tęczy. Ptaki zebrane na okolicznych drzewach świergotały i szczebiotały, a samotna, uparta ryba próbowała płynąć pod prąd

Myśli Mary były ponure. Lęk opuścił ją już zupełnie, ale tłący się niepokój i poczucie osaczenia wciąż nie dawały o sobie zapomnieć.

Nie miała ochoty czekać na kolejny atak. Zeszła na dół, znalazła telefon i wykręciła numer ojca.

Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Rodion, dodano 21.01.2015 11:57

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.